Tadeusz Rus

Barbaryzacja w kulturze

Studia Artystyczne nr 2, 30-33

2014

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MUZEUM HISTORII POLSKI

Tadeusz Rus
Uniwersytet Śląski w Katowicach

Barbaryzacja w kulturze

Po wielkich zbrodniach drugiej wojny światowej pojęcie barbarzyństwa zostało zarezerwowane dla zbiorowego okrucieństwa, jak nazizm czy stalinizm. Ogromne tragedie tak dalece zawładnęły tym słowem, że dla negatywnych zjawisk o mniejszej skali zachowano język potoczny. Tymczasem termin *barbaros*, wprowadzony w okresie największego rozkwitu ateńskiego intelektualizmu, odnosił się zarówno do wrogów, jak i do ludów obcojęzycznych. Cofnijmy się na chwilę do czasów sprzed V wieku p.n.e., do późnego neolitu, gdy nad rzekami Sumeru i Babilonu oraz w Egipcie powstawały miasta, świątynie i pałace. Kiedy pojawiła się egipska kultura księgi, a wspólnoty zaczęły określać się poprzez religię, mity i wyobrażenia bogów. Odtąd każdy najeźdźca, który niszczył, nie umiał czytać ani pisać, nie uprawiał ziemi, a także nie miał ksiąg oraz miast, był kimś gorszym. Dwa ostatnie wyznaczniki, czyli księga jako wspólnota zapisu oraz miasto jako wspólnota miejsca, staną się podstawowym rozróżnieniem.
W Rzymie, kontynuatorze tradycji greckiej, także dwuznacznie używano określenia „barbarzyństwo". Zacytujmy Owidiusza, który po wygnaniu nad Morze Czarne napisał w swych elegiach *Tristiach*: „Jestem barbarzyńcą, bo nikt mnie nie rozumie"[1]. To ironia Rzymianina, którego przeniesiono z centrum o silnym kulturowym promieniowaniu między półrolnicze ludy. Dla cesarstwa rzymskiego barbarzyńcy zaczynali się od Renu. Tam mieli swoje wozy, na nich załadowaną broń, rodzinę i jak zwykle zmierzali na południe w stronę miast, gdzie można było coś zdobyć, zrabować, a nawet osiąść. *Civis romanus* absolutnie bronił swojego miasta, świątyni i kodeksu praw. Trzeba dodać, że Rzymianie nigdy nie uważali Persów za barbarzyńców, aż do ostatnich wojen, kiedy to na Eufracie ustaliła się ostatecznie granica imperium i języka łacińskiego. Dlaczego? Bo Persowie budowali i pisali. Mieli swoje skomplikowane wyjaśnienia religijne, którym ulegali także sami Rzymianie odchodzący od panteonu grecko-rzymskiego.

Zanim napiszę o upadku cesarstwa, chciałbym przywołać postać Zbigniewa Herberta. Miał on dwóch nauczycieli: Marka Aureliusza i Henryka Elzenberga. Różnica wieku między nimi wynosi około 1800 lat, ale nie to jest istotne, lecz fakt, że obydwu wybrał Herbert. W Elzenbergu miał oparcie dla swej mentalności, wyobraźni i wartościowania, w Marku Aureliuszu zaś widział wzór postępowania.
W wierszu *Do Marka Aurelego* czytamy:

> Dobranoc Marku lampę zgaś
> i zamknij książkę
> Już nad głową wznosi się srebrne larum gwiazd
> to niebo mówi obcą mową
> to barbarzyński okrzyk trwogi
> którego nie zna twa łacina
> to lęk odwieczny ciemny lęk
> o kruchy ludzki ląd zaczyna
> bić I zwycięży Słyszysz szum
> to przypływ Zburzy twe litery[2].

Ten wiersz odsyła nas bezpośrednio do stoicyzmu cesarza i należy do najbardziej pesymistycznych utworów, jakie istnieją. Jako młody człowiek Herbert napisał książkę *Barbarzyńca w ogrodzie*, nazywając tak samego siebie wobec wielkiej sztuki „mówiącej" do niego. Warto też przypomnieć zakończenie wiersza *Longobardowie*:

> Ogromny chłód wieje od Longobardów
> Cień ich trawę przepala kiedy zlatują w dolinę
> Krzycząc swoje przeciągłe nothing nothing nothing[3].

To typowy obrazek konkretnych barbarzyńców, ale Herbert rozumiał to inaczej – jako ciągle powracający najazd pierwotnej, ryczącej i zabijającej siły. Podbiją oni w końcu Rzym i rozpocznie się średniowiecze, a my pytamy, co stało się z barbarzyńcami? Najpierw byli to najeźdźcy, dopóki trwała wędrówka ludów, ale później zostali mieszkańcami bardzo biednych, prymitywnych i rozsypanych wiejskich przestrzeni, a także resztek miast. W tym nowym układzie to Kościół, jako wieża oraz ostoja dla ksiąg i mądrości, wyznaczał główny porządek świata, w którym ład liturgii i ład śpiewu miał stale przypominać ludziom, że na tym ponurym padole ziemskim istnieje jednak jakiś sens. Od renesansu karolińskiego aż po wielki rozkwit miast późnego średniowiecza nikt nie nazwał barbarzyńcą niepiśmiennego księcia, rycerza czy rolnika. W tym czasie był nim innowierca, choć nie jest to takie proste. Islam panował wówczas w Hiszpanii, w północnej Afryce i na Wschodzie. Zderzymy się z nim twarzą w twarz w trakcie wypraw krzyżowych, ale czy wyznawcy islamu to barbarzyńcy? Przecież w Kordobie istniały uniwersytety, meczety i łaźnie, podczas gdy Paryż był nędznym, śmierdzącym miastem. Barbarzyńcą nie był więc Arab czy Turek, lecz ten innowierca, który nie miał ksiąg, swojej teologii, który odprawiał prymitywne obrzędy, np. noc świętojańską, by przywołać główny obyczaj Słowian. To było barbarzyństwem nie tylko dla uczonego mnicha, lecz także dla rycerza. Dlatego u schyłku średniowiecza Krzyżacy dokonali pacyfikacji terenów Prus i Litwy, bo tam było tak jak u nas za czasów Mieszka I.

Podczas gdy inne kraje obrosły już miastami, katedrami i uniwersytetami.

W XIV wieku zmieniła się Europa i w stosunku do tej średniowiecznej stopniowo stawała się coraz bardziej świecka, katolicka i protestancka. Ale po Marcinie Lutrze nigdy żaden katolik i protestant nie został nazwany barbarzyńcą, i to niezależnie od tego jak okrutnie się nawzajem mordowali. Co najwyżej uznawali się za straszliwych apostatów. W okresie renesansu określenie barbarzyńcy przylgnęło do na wpół koczowniczych plemion Indian, czczących totemy, rośliny i kamienie. Europejczycy zetknęli się z nimi za sprawą odkryć geograficznych.

Od koncepcji swobodnego wychowania Jeana Jacques'a Rousseau i od czasu walki o demokrację barbarzyńcę zaczęto określać mianem „dobry dzikus", którego cechowała szczerość. Tak bardzo powywracało to w arystokratycznych głowach, że powstał nawet taki trend w sposobie bycia. W pałacowych ogrodach wytworne panie zaczęły wypasać owieczki, które wcześniej porządnie w tym celu wyszorowano. Cała druga połowa XIX wieku wypełni się kultem etnografii i jest to zasługa romantyków. Pojawią się zbieracze ludowej szczerości i będą to robić za dnia, by wieczorem czym prędzej zmykać do miasta (Paryża, Berlina lub Krakowa) i spędzać noce w literackiej kawiarence. W tych kawiarniach równolegle z fascynacją ludem, którego nie nazywano barbarzyństwem, pojawiła się cyganeria artystyczna. Odcięła się ona całkowicie od swej porządnej, mieszczańskiej przynależności. Oczywiście jej przedstawiciele byli dobrze wychowani, ale tylko na urodzinach cioci, a potem w kawiarniach zażywali absynt, haszysz i inne środki napędzające myśl oraz sztukę. Mówili o sobie, że są bezdomni, wędrowni i żyją jak cyganie. Zaufali tylko wyobraźni i stworzyli nową definicję barbarzyńcy. Kogo postanowili tak nazwać, skoro sami wybierali taki oto tryb życia: jakieś poddasze, trunki, nieuregulowane związki erotyczne i ciągłe ze sobą rozmowy? Byli pokoleniem całkowicie interdyscyplinarnym. Nie przyszłoby im do głowy, że malarze, muzycy i poeci nie mają ze sobą o czym gadać. Literatura była ich językiem i za jej sprawą szukali porozumienia. Cyganeria wymyśliła swoich barbarzyńców, którzy nie przekonują nas logicznie, ale jest to kulturowe zjawisko. Otóż będą nimi reprezentanci klasy społecznej, z której wywodziła się sama bohema. Wprawdzie nie używali słowa „barbarzyńca", bo byłoby śmieszne nazwać tak eleganckiego adwokata, ale ukryli je pod hasłem „filister". Pojęcie to powstało na niemieckich uczelniach, zapożyczone od starotestamentowego Filistyna.

W 1900 roku umarł Fryderyk Nietzsche. Wcześniej ogłosił, że sztuka jest najwyższą sferą wyobraźni i odbija się w niej podwójny obraz świata: dionizyjski, będący wyrazem nieposkromionej natury, oraz apolliński jako racjonalny i umiarkowany. Nawet okresy i dzieła podzielił według tych dwóch inspiracji, tak że renesans był apolliński, a barok dionizyjski. Potem stwarzając nadczłowieka, postawił ludziom wymagania ponad wszelką miarę. Nie mógł przypuszczać, że pewien Niemiec dochodząc do władzy, przymierzy tego nadczłowieka do wspaniałej rasy germańskiej. Piszę o tym, ponieważ chcę zapytać, kim my jesteśmy? Wyrastamy z dionizyjskiego czy apollińskiego nurtu? Dokąd sięgają dzisiaj granice wolności w sztuce? Nietzsche złożył też dziwną deklarację, nazywając Niemców narodem barbarzyńców, a przecież to kraj Goethego, Kanta, Hegla, Schopenhauera i Wagnera, do którego prawie na kolanach wędrowała najbardziej wyrafinowana część Europy, by doświadczyć religijnego przeżycia muzyki. Równocześnie to naród takich gospodyń domowych, że w poczuciu piękna do dzisiaj wycierają ten kurz z trawy. Wobec tego kto jest tu barbarzyńcą? Bo z pewnością nie będzie nim przedstawiciel tych najwyższych sfer ani też porządna, biedermeierowska gospodyni. Otóż taka deklaracja filozofa wynikała z jego buntu przeciwko temu porządkowi, który go raził. Uważał, że w tym ładzie kryje się ogromne niebezpieczeństwo zawężenia nas do małej komóreczki, co było dla Nietzschego barbarzyństwem estetyki. I znowu jesteśmy bezradni, bo przecież jeśli mówię, że coś jest piękne albo brzydkie, czyli rozróżniam, to nie mogę być barbarzyńcą, tylko wręcz przeciwnie. Zauważmy jednak, że jeżeli nastawimy się w życiu na kwalifikację *ładne – niełądne* i ona stanie się naszą najwyższą wartością, wówczas skurczymy się do formatu mydła. Nadmiar takiego wartościowania zawsze zabija myślenie egzystencjalne, a nasze przeżycia sprowadza wyłącznie do nabywania oraz podziwiania kolejnych rzeczy. Im większą wagę przywiązuję do koloru ręcznika lub krawata, tym staję się uboższy. To była obsesja cyganerii, choć jej przedstawiciele tego tak nie nazywali. Natomiast Nietzsche był niesamowity i użył słowa „barbarzyństwo". Nikt nie miał pojęcia, o co idzie, przecież cudowne katedry i piękne pałace wciąż czarowały, ale on miał na myśli co innego – „ładność" świata, która całkowicie pochłania człowieka. Nigdy wcześniej nie było tak wielkiego zagrożenia ową „ładnością" jak w czasie kultury nazywanej masową. Chyba nawet Nietzsche nie pomyślałby, że świat już wkrótce tak bardzo przekręci się w stronę konsumpcji.

W XX wieku demokracja amerykańska przyniosła społeczne zjawisko, które najlepiej oddaje stwierdzenie: „równaj w dół". Oczywiście każdy z nas ma inaczej, jeśli chodzi o zasoby kieszeni, ale jesteśmy mniej więcej podobni pod względem marzeń. I to jest różnica w odniesieniu do poprzednich epok, bo z całą pewnością w cza-

sach Bruegla chłop marzył o czymś zupełnie innym niż renesansowy książę. Natomiast nasze marzenia generalnie się wyrównały, a przyczyniły się do tego obecne trendy, zwane nowoczesnymi. W ich ramach pojawiła się nowa forma ataku na wyobraźnię. Myślę tu o reklamie. Nie o reklamie poszczególnych rzeczy, lecz o jej wszechobecności, bo za chwilę będzie za każdym oknem, a może nawet na suficie, skoro codziennie podtykają nam ją pod drzwi. Staje się ona takim porannym i wieczornym paciorkiem, który gdzieś tam lokuje się w naszym sumieniu. Z całą pewnością zasięg reklamy będzie się rozrastać i zabierze jakąkolwiek egzystencjalną refleksję na rzecz pozornej atrakcyjności. Jej teksty ciągle bredzą językową zbitką zobowiązaną do zachęty, a nie do logiki. Czy to jest barbaryzacja? Uważam, że tak i w takim świecie musi ulec zmianie obecność sztuki.

W latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku postmoderniści (Lyotard, Derrida) stwierdzili, że nie ma stałych wartości, prawd i norm. Dzisiaj owocuje to szczytem anarchii aksjologicznej i dowolnością działań w sztuce. Jeżeli w jakimkolwiek społeczeństwie istniała drabina hierarchii, to zawsze towarzyszyło jej przekonanie określonej grupy o tym, co jest ważniejsze, i co jest wyżej. Oczywiście nie wszyscy się do tego stosowali, ale łamanie zakazu nieodłącznie wiąże się z hierarchią. Grzech to uświadomienie sobie zła, a nie to, że nikt nie będzie grzeszyć. Przecież nieustannie popełniane są zbrodnie i ciągle działa Kain, ale w różnych systemach jest to inaczej oceniane. Pomijam tu okrucieństwo, ponieważ ono nie musi być związane z barbarzyństwem. Okrucieństwo może być wymyślne, a nawet wyrafinowane, i może służyć różnym celom, ale to nie mój temat. Mnie interesuje nasze zwykłe życie, które zaczęło pozbawiać nas rozróżnień, co jest mądre, a co głupie; co jest dobre, a co złe. W tym zakwestionowaniu leży niesłychana wręcz barbaryzacja. Jeżeli szukamy egzystencjalnych odpowiedzi, musimy sięgać po książki, wiersze, filmy i obrazy. Jeśli jednak obrócimy się w stronę sklepów, to one po swojemu poinformują nas, skąd przychodzimy, kim jesteśmy i dokąd zmierzamy.

Mniej więcej od początku ubiegłego wieku można usłyszeć pewien krzyk na trwogę. Ten głos ostrzeżenia rodzi się w wielkiej myśli filozoficznej i społecznej. Wymienię cztery nazwiska: José Ortega y Gasset (dehumanizacja sztuki), Alan Bloom (zamknięty umysł), Alan Finkielkraut (porażka myślenia) i Hannah Arendt (kryzys kultury i edukacji). Ortega y Gasset w pierwszej połowie ubiegłego wieku napisał o tym stuleciu takie rzeczy, że z trudem wierzymy, że to było wtedy. Przecież obserwowana przez niego ówczesna sytuacja była zaledwie południem, a on już widział jej zmierzch. Z niezwykłą intensywnością dostrzegał zjawiska pozornie marginalne. Z upływem czasu te marginalia przesuwały się do centrum i dla następców Ortegi wydawały się czymś powszednim. Z kolei Alan Bloom opisał rewoltę studencką lat 60. XX wieku, która co prawda przeszła dość szybko, ale przeorała wyobraźnię młodych ludzi. Od niej zaczęła się wolność od norm, w którą wpiszą się filozofowie, czyniąc z niej deklarację postmodernizmu. W tamtym czasie Bloom jako młody wykładowca też się buntował. Potem przeszedł całkowitą ewolucję zgodną z duchem naszego czasu, kiedy to ludzie młodzi są coraz częściej konserwatywni, a rodzice postępowi. Przez ostatnich 300 lat zawsze było inaczej, ale teraz, kiedy zestarzały się dzieci kwiaty, stało się odwrotnie. Dlaczego? Ponieważ z tym postępem zupełnie nam się nie udaje. Alan Finkielkraut pozostawił nam jedną z najbardziej przerażających krytyk degradacji wartości. To on zauważył, że podpis projektanta mody jest traktowany na równi z podpisem genialnego twórcy. Tą uwagą nawiązywał do rewolucyjnego określenia Tołstoja, że para butów jest więcej warta niż Szekspir. Z tym że gdy Tołstoj pisał te słowa, miał na uwadze biedny lud i była to metafora. Kiedy skończył się wiek XX, para butów nowojorskiego projektanta mody stała się synonimem sztuki, a nie ratunkiem przed zimnem dla bosego chłopa. Wreszcie Hannah Arendt opierając się na sytuacji w Ameryce, dokonała głębokiej analizy kryzysu kultury i edukacji. Napisała, że: „Ameryka, choć aż nadto dobrze obeznana z barbarzyńskim filisterstwem nowobogackich, niewiele wie o równie drażniącym filisterstwie kulturalnym”[4].

Niestety tak się już dzieje w wielu miejscach na świecie i w różnych odmianach sztuki oryniacko-skandalizującej, że co pewien czas ożywia się jakaś pierwotna horda i wraca do swoich początków stada. Jest jednak wielka różnica między tymi, którzy wyszli z jaskiń zawinięci w kawałek skóry i wiedzący jedno, że jest głód i trzeba go czymś zaspokoić, a sytymi i wyposażonymi w technologię XXI wieku członkami współczesnej hordy. Trzeba wiedzieć, że znowu jesteśmy przed równie prymitywną wędrówką ludu, który ma jeden cel – przebić się za wszelką cenę. Czyli chce dokładnie tego, czego chciała większość ludzi, wyruszając ze swych barbarzyńskich osiedli na podbój miasta, owego *civitas*. Ale najpierw trzeba to rozpoznać i zrozumieć, bo inaczej tego nie zobaczymy. W tym celu należy czytać historię wieków ciemnych (VI, VII, VIII) i pytać, co przechowało fundamenty obalonej wówczas cywilizacji? W jaki sposób je uratowano wbrew zbiorowej mentalności, by potem mógł z nich powstać zupełnie inny świat? Bo na pewno łatwiej było wybudować w II wieku ogromne Forum Romanum, niż w VIII przeczytać małą książeczkę.

[1] Owidiusz: *Żale.* Poznań 2007.
[2] Z. Herbert: *Struna światła.* Radom 1956.
[3] Z. Herbert: *Napis*. Wrocław 1997.
[4] H. Arendt: *Między czasem minionym a przyszłym*. Warszawa 1994.

Tadeusz Rus

Barbarism in Culture

Summary

The essay gives an account of the short history of the notion of barbarism from antiquity to the present. The word was coined by Greeks circa 5th century BC. From its very beginning its understanding bifurcated. On the one hand, it was referred to foes, but also it defined primitive, nomadic illiterate peoples who did not establish towns. Throughout centuries there occurred changes in comprehension as definition of the term. Each subsequent epoch created its own rendering of barbarism. The term itself was implicit in such words as infidel, philistine, mass man. However, most attention is drawn to the present times as the author describes contemporary barbarism and explains the way it functions today.

Keywords: barbarism, infidel, bohemian artists, commercial, mass culture

Tadeusz Rus

Barbarizace v kultuře

Shrnutí

V tomto eseji byla představena chronologicky, od starověku po 20. století, krátká historie pojmu barbarství. Slovo samotné vytvořili Řekové okolo 5. stol. př. n. l. Od samého počátku bylo chápáno dvěma způsoby. Na jedné straně se týkalo nepřátel, ale vztahovalo se také na primitivní, kočovné národy, které neznaly písmo a nezakládaly města. V průběhu staletí docházelo ke změnám v chápání a definování barbarství. Každá z dalších epoch tento pojem interpretovala po svém. Samotný termín se ukrýval například v takových pojmech jako: jinověrec, zpátečník, masový člověk. Nejvíce pozornosti věnuje autor pojednání naší době, popisuje, jak funguje barbarství v současnosti a čím je dnes.

Klíčová slova: barbarství, jinověrec, umělecká bohéma, reklama, masová kultura